

W sobotę z hacjendy w górach zjechaliśmy ponad 200 kilometrów na wschód i - bagatela! - dwa tysiące metrów w dół do Papantli. Różnicę można było odczuć od razu po wyjściu z samochodu - tropik, duchota, koszulka do wymiany po kwadransie. Powody tego rajdu były dwójakiego rodzaju.

Po pierwsze, w pobliżu Papantli znajduje się interesujące stanowisko archeologiczne (El Tajin), główne miasto Totonaków, którego czasy świetności przypadają na panowanie króla Królika XIII (serio, tak się nazywał - wśród Azteków był już król, którego imię tłumaczyło się jako Wiewiórek). W sumie podobnie, jak u sąsiadów - piramidy, boiska do gry w pelotę, wizerunki równie krwiożerczych bogów. Tyle, że w dżungli. Najciekawsza jest siedmiostopniowa piramida z (ponoć) 365 niszami.

El Tajin zostało opuszczone w początkach XIII wieku, nie jest do końca jasne z jakiego powodu, i pozostawało nieznane dla Europejczyków przez ponad 500 lat, aż do roku 1785, gdy na piramidy w dżungli natrafił pewien przedsiębiorczy Hiszpan, który szukał miejsca na założenie nielegalnej (omijającej państwową akcyzę) plantacji tytoniu. Ponieważ bardziej zainteresowała go sława odkrywcy niż kariera przestępcy podatkowego, zgłosił znalezisko odpowiednim władzom. W początkach XIX wieku do El Tajin przyjechał - zgadnijcie kto? - Humboldt, ale skoordynowane prace nad karczowaniem dżungli, oczyszczeniem i rekonstrukcją piramid rozpoczęły się dopiero wiek później. Obecnie El Tajin jest jedną z meksykańskich lokalizacji światowego dziedzictwa pod patronatem UNESCO.

Po drugie, Papantla jest miejscem, skąd na cały świat rozlała się wanilia. Wanilia jest storczykiem, który wspina się na drzewa. W Meksyku kwitnie w kwietniu, a owoce (botanicznie: torebki) nadają się do zbioru w grudniu - my widzieliśmy tylko takie zielone, niedojrzałe. Wanilię uprawiali (a w zasadzie pozyskiwali ze stanowisk naturalnych) już Totonakowie i płacili nią daninę Aztekom. Gdy Cortes dotarł w te okolice zachwycił się smakiem i aromatem wanilii (tubylcy poczęstowali go czekoladą aromatyzowaną strąkami wanilii). Wyślano kilka roślin do Hiszpanii. Sadzonki przeżyły podróż, ale nie kwitły. Pierwsze kwitnienie wanilii w Europie zaobserwowano w angielskiej szklarni w 1806. Produkcję wanilii próbowali też uruchomić Francuzi (na Madagaskarze i na Reunion), rośliny rosły zdrowo i bujnie, kwitły obficie, ale wciąż nie wiązały owoców.

Przełom nastąpił w latach 30 XIX wieku, kiedy podpatrzono skutecznie naturę. Otóż meksykańską wanilię zapyla miejscowa pszczołka (drobna, bez żądła, żyjąca tylko w okolicach Papantli) z rodzaju *Melipona*. Melipony (hiszp.: *abejas de monte*) wyewoluowały w kierunku umiejętności zapylania wanilii - potrafią podnieść rostellum (taka membrana uniemożliwiająca roślinie samozapylenie) i przenieść pyłek z pręcików na znamię słupka. Skoro poznano mechanizm, to nauczono się zapylać wanilię ręcznie: obecnie znakomita większość wanilii produkowana na

świecie pochodzi ze sztucznego zapylenia - to też tłumaczy jej cenę, bo każdy kwiat trzeba ręcznie zgwałcić.

Co więcej, kwiat wanilii kwitnie tylko przez pół dnia, więc trzeba zrobić to na czas: po zapyleniu kwiaty więdną w pół godziny i widać od razu sukces. Na stanowiskach naturalnych melipony zapylają mniej więcej 1% kwiatów wanilii. W uprawie, gdy zapyla się wszystkie możliwe kwiaty, bywa często tak, że roślina nie jest w stanie wytworzyć wszystkich owoców i obumiera. Obecnie najczęściej uprawia się wanilię przy niewysokich sztucznych podporach, w ten sposób można łatwiej ją zapylać: w naturze dorasta do kilkunastu metrów, wspinając się po drzewach. Nasiona wanilii, jak wszystkich storczyków, wymagają do kiełkowania mikoryzy (obecności grzybni) - na szczęście łatwo rozmnażać ją wegetatywnie, przez sadzonki pędowe.

Jak ze wszystkim, z wanilią związane są legendy. Najpowszechniejsza (figuruje nawet na pomniku w centrum Papantli) opowiada o parze zakochanych w stylu *Poławiaczy pereł*. Ona jest księżniczką oddaną "do klasztoru", on zakochanym w niej księciem. Uciekają razem w góry, ale zostają złapani i zabici na miejscu. Na szczęście "non omnis moriar" - z krwi ofiar wyrasta roślina o wspaniałym zapachu, więc kapłani mogą teraz zacząć intratny biznes. Jednak racjonalizm przeważył nad operową romantycznością.

Drobna dygresja co do biznesu: uporczywe, a niepotwierdzone pogłoski głoszą, że różnica smaku pomiędzy Coca Colą a Pepsi Colą wynika z tego, że ta pierwsza ma w swoim składzie oryginalny ekstrakt waniliowy, a druga bazuje na syntetycznej sztuczności.

Nasza przygoda z wanilią zaczęła się nerwowo, ale skończyła całkiem przyjemnie. Umówieni byliśmy (internetowo) na plantacji z Jose Luisem na 9 rano w niedzielę. Dojeżdżamy (nieoczywista w sensie nawierzchni, ale dobrze oznaczona szutrowka), a tu hacjenda zamknięta na cztery spusty. Czekamy do 10, bo korespondencja była jakby niejednoznaczna, nadal nic. I tutaj nadjeżdża zniecierpliwiony kowboj (taki meksykański - *vaquero*), który okazuje się być bratem (*hermano*) Jose Luisa (który, jak się okazało, poszedł w sobotę do Papantli i dotychczas nie powrócił). A gdy jeszcze okazało się, że jego żona mówi trochę po angielsku, to już mieliśmy bardzo miły obchód rancza z demonstracją wanilii i innych atrakcji.

W niedzielę po południu wjechaliśmy z powrotem na płaskowyż, do Teotihuacán, gdzie znajdują się najsłynniejsze piramidy Meksyku. Postanowiliśmy obejrzeć je metodycznie, a to rozpoczynając od porannego lotu balonem nad stanowiskiem archeologicznym. Nigdy jeszcze nie lecieliśmy balonem, co okazało się być bardzo przyjemnym doznaniem. Ciekawy był sam proces uruchamiania balonu, a potem, po wylądowaniu, jego składanie i pakowanie na przyczepkę. Ponieważ kierunek lotu

zależy od kierunku wiatru, miejsce lądowania jest niespodzianką: leciało tego ranka kilka balonów i lądowały w różnych przygodnych miejscach, na przykład na placyku przed kościołem w miasteczku. My wylądowaliśmy tuż za miasteczkiem, na czyimś polu. Nasza ekipa balonowa prowadziła intensywne, ale zdaje się bezgotówkowe negocjacje z właścicielem pola co do wjazdu samochodów po balon i jego pasażerów. Balony latają tylko wczesnym rankiem, bo wtedy różnica temperatur między powietrzem zewnętrznym, a tym ogrzanym, w balonie, jest największa.

Potem już wybraliśmy się na pieszą eksplorację Teotihuacánu. Miasto zostało założone i zamieszkane przez nie wiadomo kogo (w okolicach I wieku p.n.e.) i opuszczone nie wiadomo dlaczego w VI wieku naszej ery. Są przekonujące - przynajmniej dla archeologów - dowody, że nastąpiło to wskutek jakiejś wewnętrznej rebelii, a nie najazdu z zewnątrz. Być może opuszczenie miasta przez jego mieszkańców miało związek z kataklizmami naturalnymi - suszą lub wybuchem wulkanu. W każdym bądź razie Aztecy, którzy przybyli na te tereny kilka wieków później uważali to miejsce za święte (stąd nazwa, w tłumaczeniu na polski, *miejsce, gdzie rodzą się bogowie*) i rozpoczęli nawet wykopaliska.

Główną osią miasta jest tak zwana Aleja Zmarłych. Nazwę tą nadali jej Aztecy, mylnie interpretując niewielkie piramidy zbudowane wzdłuż niej jako grobowce. Wzdłuż tej osi (która jest nachylona względem południka o nieprzypadkowo taką samą wartość jak oś piramid w Gizie) znajdują się trzy piramidy: Księżycy, Słońca oraz Świątynia Quetzalcoatl (Pierzastego Węża). Układ piramid względem osi odwzorowuje układ gwiazd w pasie Oriona (tak samo, jak w Gizie).

Odbyliśmy prawie dziesięciokilometrowy spacer, wdrapaliśmy się na wszystko, na co można było się wdrapać (w tym na dwie najwyższe piramidy), zwiedziliśmy dwa ciekawe muzea znajdujące się na terenie wykopalisk, a po południu zjechaliśmy do hotelu przy lotnisku, skąd jutro rano lecimy do USA. Tego etapu naszej podróży nie będziemy już sprawozdawać, bo ma on wymiar rodzinno-towarzyski. Do usłyszenia (zobaczenia, przeczytania) już w Polsce. Będzie jeszcze odcinek podsumowujący z linkiem do zdjęć, ale to tradycyjnie za czas jakiś, jak się odgruzujemy i ogarniemy.

Dziękujemy za życzliwe i ciekawe komentarze!

Michał z Dorotą